NUMER 3. ŁUTY 1909. ROK I.

NA ZIEMI NASZEJ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO"

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

O czystość języka polskiego.

(Szczegół z przeszłości).

Zasłużona na tylu polach umysłowości narodu polskiego Komisja Edukacji Narodowej nie zaniedbała i starań o czystość języka polskiego, o przywrócenie go do dawnej świetności języka Kochanowskich i Skargi, o ustalenie terminologji naukowej polskiej. Wyrugowała więc przedewszystkiem ze szkół ową przewagę łaciny, która za rządów Jezuitów była alfą i omegą wykształcenia, wprowadziła wykład polski do wszystkich bez wyjątku nauk, zaopatrzyła szkoły w podręczniki w języku ojczystym pisane, a przez związek z oświeconym Zachodem dążyła do wyplenienia złego gustu wśród publiczności, kształconej jeszcze na Alwarze i poetykach średniowiecznych. Ogniskiem zaś, skupiającem w sobie te dążenia najwyższej magistratury szkolnej i ludzi prywatnych do wywalczenia językowi polskiemu należnych mu praw w nauce i życiu, tą czujną strażą nad jego czystością i poprawnością — było Towarzystwo do ksiąg elementarnych, powołane do życia, jako organ przyboczny Komisji Edukacji Narodowej, dla wydawnictwa podręczników szkolnych, a liczące w swem gronie najtęższych i najzasłużeńszych pracowników na polu oświaty.

Gorliwość i sumienność Towarzystwa w kierunku pielęgnowania ojczystej mowy jest rzeczywiście zadziwiająca: Uchwala ono przez pisma wezwać uczonych do nadsyłania Komisji „uwag i pism stosujących się do objaśnienia i wydoskonalenia języka ojczystego", w wydawnictwach swych opiera się na Knapskiego „Thesaurus polono-latino-graecus", osobne posiedzenia poświęca kwestjom ortograficznym, ustala terminologję naukową polską i nie waha się wycofać z druku wydane już „tablice umiejętności", byle tylko „zachować jednostajność słów ogólnych (t. j. terminów) w instrukcji narodowej" [1]).

Gdy zaś Fiałkowski Marcin, mianowany świeżo wiceprofesorem retoryki i poetyki na uniwersytecie krakowskim, nadesłał w r. 1787 towarzystwu „myśli ściągające się do nauk rzeczonej katedrze właściwych", a projekt ten poczęto krytycznie rozpatrywać [2]), skorzystał z tej sposobności Kopczyński, członek Towarzystwa, by na posiedzeniu z 8. grudnia wygłosić szereg przepięknych uwag o smutnym stanie języka polskiego i środkach zaradczych na przyszłość [3]).

Przestrzegłszy Fiałkowskiego [4]), by w wykładach swych nie opierał się na traktatach, które

---

[1]) Protokoły posiedzeń Towarzystwa do ksiąg elementarnych 1775—1792. Wydał Teodor Wierzbowski. (Warszawa 1908). Serja 33, 34, 51, 115, 161, 162, 258.

[2]) Ibidem, serja 453, 455, 457, 459.

[3]) Rękopis, zatytułowany „Uwagi X. Kopczyńskiego nad projektem I. P. Fiałkowskiego, Profesora Literatury w Akademii Krakowskiej". Kart 4 in folio, sklejonych razem. Własność Redakcji „Kurjera Lwowskiego". — W ustępach tu ogłoszonych modernizujemy pisownię o tyle, że usuwamy kreskowanie pochylonego **e** i **a** i nadmiar (z dzisiejszego punktu widzenia) wielkich liter, wprowadzamy **j** na miejsce dawnego **i** lub **y** i zmieniamy miejscami interpunkcję.

[4]) Fiałkowski Marcin, postać mało znana. W r. 1781 jest już doktorem filozofji i, jako uczeń Bogucickiego, popisuje się na uniwersytecie krakowskim 3. lipca na publicznej „egzercytacji" wiadomościami z historji kościelnej. W latach szkolnych 1781/2—1786/7 jest profesorem w szkołach średnich krakowskich, w następnym wiceprofesorem literatury w akademji jagiellońskiej, od r. 1790/91 profesorem zwyczajnym. Wydał dwie mowy i „Dyssertację o publicznej edukacji porównanej z prywatną", brał udział („O geniuszu, guście, wymowie i tłumaczeniu" 1790, 2. wych. 1809) w znanej polemice uczonych krakowskich

„są naprzód z dobrą logiką i prawdą niezgodne, a potem długie, nudne i dla profesorów samych ciemne, nie z łaciny dobrej, ale ze złego perypatetycyzmu wyciągnione, które zwyczajnym nauk losem jeszcze się dla wkorzenionego nałogu przeciwko rozporządzeniu Komisji Edukacyjnej po zakątkach szkolnych odzywają“,

lecz by raczej czytał z uczniami dzieła takich uczonych, jak Marsais, Pluche, Condillac, wyraża z kolei żal, że profesor, tak troskliwy o język łaciński, tak mało okazał gorliwości około polszczyzny. A przecież

„język ojczysty, którym pospolicie wszyscy ziomkowie, uczeni i nieuczeni mówią, język, który jest jedyną zasadą nauk krajowych, pierwsze miejsce brać powinien przed wszelkim cudzoziemskim językiem, choćby też najuczeńszym. Język polski, jeden podobno i do natury rzeczy i do natury myśli ludzkiej najbliżej przystępujący, jeden podobno, którego teorja ledwie nie po matematycznemu da się wyłożyć, jeden podobno, w którym zupełną upatrzyć można harmonię: tak dobry mówię język do takiego w tym wieku przyszedł stanu że kto go zna, kto go kocha, płakać nad nim musi. Co niegdyś za świadectwem Quintyliana trafiało się w Rzymie, że dla zbytniego polubienia języka greckiego, tudzież dla mnóstwa cudzoziemców tota theatra barbare exclamasse dicuntur: toż u nas pospoliciej się dzieje. Gdyby który zygmuntowskiego wieku zmartwychwstał Polak i poszedł czy do kościoła dla nauki, czy do sądowej izby dla sprawiedliwości, czy do udawalni albo na theatrum dla rozrywki, czy na przyjacielskie lub uczone posiedzenia, gdyby zwiedził xiążnice czyli biblioteki i obaczył owe stosy nowych płodów polskich albo cudzoziemskich na krój ojczysty przestrojonych: postrzegając polską mowę tak często policzkowaną i kaleczoną, zostałby od żalu Piotrowinem. Puszczam mimo siebie chropowate wyrazów ułożenie, puszczam łatki, że tak rzekę, z cudzoziemskich języków do osnowy polskiej nieprzystojnie i bez potrzeby przypięte, puszczam tok języka czyli styl tak co do szykowania wyrazów, jako co do mówienia sposobów wcale albo cudzoziemski albo bardzo szumny; tego ze wstydem zamilczeć nie mogę, iż błędy najgrubsze przeciwko ojczystemu prawdziwie zwyczajowi przypadkowania, czasowania i składni czyli deklinacji, koniugacji i konstrukcji, (których byśmy i w dzieciach cierpieć niepowinni) sami ledwie nie ustawicznie popełniamy. Pospólstwo nawet, które dla nieznania języków cudzoziemskich najczystszym (sic!) jest zawsze ojczystej mowy składem, już się zarażać poczyna od owych uczycielów, którzy błędów przeciwko językowi niepoczytują już za błędy dla tego, iż się pospolicie popełniają; a co jest prawdziwie z tym nałogiem, to oni za zwyczaj narodowy udawać śmieją, lubo przecie Quintylian powiada, że jak w obyczajach, tak i w językach zły przykład, gdyby najwięcej albo i wszystkich osób, występku w cnotę nie zamienia.

A co najboleśniejsza dla uczonego Polaka, że owe rzadkie i bystre dowcipy (które Gieniuszami nie najlepiej nazywać zwykli) a które dla teraźniejszego i przyszłych wieków mogą być wzorem dobrego myślenia, w pismach swoich, do druku nawet podanych, w też same wpadają błędy przeciwko ojczystemu językowi, których, za kilka lat, poznawszy tok języka ojczystego, wstydzić się zapewne będą jako istotnych przeciwko ojczystemu językowi usterków i nowego wydatku żałować nie będą na lepsze dzieł swoich wypracowanie. Spodziewać się także potrzeba, iż owe prędkie ale nie najlepiej rozważone wymówki, iże dla rymów można być w pisaniu wolniejszym, uznają za błahe i nie prawdziwe, czytając u P. Boileau, czwartym po Arystotelesie wierszopistwa sędzim, że dla biednego rymu nie trzeba gwałcić narodowego języka“.

A jako uzupełnienie tych zawsze aktualnych, niestarzejących się nigdy uwag, takie zadania na przyszłość wytycza społeczeństwu:

„Kiedy elementarna retoryka zgodzi się z gramatyką, kiedy według tych zasad wrócą się Polacy do czytania i rozważania dobrych xiążek polskich Skargi, Karnkowskiego, Grzegorza z Żarnowca, Wujka, Potulickiego, Kochanowskich, Rybińskiego etc., kiedy będzie słownik narodowy, kiedy powstanie Towarzystwo języka polskiego, które zrobi wypisy z najlepszych xiążek polskich i miesięcznym pismem wydawać będzie sąd na wszystkie wyszłe po

---

z warszawskimi. Czasy Komisji Edukacji Narodowej przeżywa o lat wiele, bo jeszcze w r. 1818 wydaje, już jako „w Szkole Głównej krakowskiej wysłużony profesor“ dwutomowe tłumaczenie prozą poezji Horacego.

polsku pisma, a kiedy nauczyciele literatury, z tego wszystkiego korzystając, łożyć będą czas osobny na uwagi z uczniami około języka ojczystego, nadzieja w Bogu, że ta plama, narodowi naszemu właściwa, iż językiem własnym najgorzej mówimy, zetrze się i zagładzi“.

Potomność bodaj w części zrealizowała piękne plany Kopczyńskiego, a ceni w nim zawsze jednego z pierwszych strażników czystości ojczystego języka.

Al. Rutkowski.

ADAM SZYMAŃSKI.

MATKA

(Pani Kozłowska)

Szkic — z cyklu „ROK 1863“.

(Dokończenie).

W chwili, gdy wojska nieprzyjacielskie, ustawiwszy armaty, rozpoczęły kanonadę, wielkie i duchem potężnym ożywione siły, zebrane w mieście, łudzone jakimiś planami tajemniczymi, głośno szemrząc, opuszczały miasto bez walki. Przeciwko nieprzyjacielowi zaś wystawiono na śmierć pewną oddział, z trzystu kosynierów złożony.

Pan Jan jeszcze w nocy został wysłanym w stronę przeciwną tej, gdzie tak zwanej bitwy oczekiwano i trawiony złemi przeczuciami, stał tu ze swymi strzelcami, nie kładąc się, nasłuchując, noc całą, a od świtu już pilnie w stronę miasta wpatrzony. Gdy zobaczył podstępnie wyprowadzane oddziały, pędem poprowadził swych ludzi i chociaż dzieliło go od miasta pół mili, przeciął drogę uchodzącym.

Wtedy właśnie zagrzmiały pierwsze strzały działowe i mądrzy wodzowie z zimną krwią skierowali zapaleńca na pole walki.

I znowu pędem biegli przez miasto strzelcy p. Jana, z trudnością za nim nadążając. I nadbiegli wczas jeszcze.

Zbici w jedną bezradną kupę, kosynierzy stracili dopiero kilku ludzi. Niedowierzając bowiem oczom własnym i uznając ich za jakąś straż przednią, nieprzyjaciel pierwszymi strzałami zapalał najbliższe budynki, poza którymi, jak mniemał, mogły być ukryte znaczniejsze siły.

P. Jan szybko ocenił sytuację.

Celni jego strzelcy, rozrzuceni umiejętnie, wkrótce nito jedna gadzina pięćdziesięciogłowa popełzli po polu. Teraz zaczęła się walka.

Cztery godziny ta garść ludzi walczyła z nieprzyjacielem czterokrotnie liczniejszym, posiadającym i broń inną i armaty.

Była chwila, że o armaty bój ręczny toczono.

Nareszcie z resztką swych strzelców dzielny wódz zewsząd otoczonym został. Z jękiem boleści rzucili się kosynierzy, by go jeszcze raz ocalić. Ale p. Jan, przewidując ów poryw szlachetny, wczas wysłał rozkaz natychmiastowego cofania się, gdy on odwrotu bronić będzie.

I ocalił pozostałą połowę.

Rozwścieczony bowiem niespodziewanym oporem nieprzyjaciel nie widział na całem polu nic, okrom tej garści mężnych, wśród których stał ich wódz opatrznościowy.

Wkrótce legli wszyscy towarzysze p. Jana pozostał on sam jeden.

Podobno oficerowie, zdumieni jego męstwem i siłą niesłychaną, zabronili doń strzelać i żywcem wziąć go kazali. Napróżno jednak zarzucano go szynelami. Olbrzymia siła i straszny kordelas unicestwiały wszystkie wysiłki i wał trupów otoczył go wokoło, zanim rozjuszeni żołnierze wbrew rozkazom zastrzelili go, rozsiekując tasakami i rozwłócząc po polu.

*

...Tegoż dnia przed zachodem pani Kozłowska wchodziła do mieszkania pułkownika, gdzie hucznie obchodzono zwycięstwo.

Prosiła o dopuszczenie jej na pobojowisko, na które nikogo niedopuszczano, prosiła, aby pozwolono jej zebrać i złożyć zwłoki syna, po całem polu rozrzucone...

Ze czcią powstali wszyscy, gdy wymieniono jej nazwisko i żądane pozwolenie, wyłącznie dla niej jednej, natychmiast udzielonem zostało.

*

Pobojowisko, na którem leżało kilkaset ludzi otaczał gęsty kordon konny i pieszy. Nikogo nawet blisko do kordonu nie dopuszczano, stali więc wszyscy zdaleka i w ilości zresztą niewielkiej. Wszyscy jednak odrazu ją poznali, gdy wysoka, czarno jak zwykle ubrana, weszła na pole zasłane trupami.

Czy widzieliście kiedy niewiasty ubogie, dziećmi drobnemi obarczone, którym gospodarz litościwy kłosy na ściernisku zbierać dozwolił? Teraz może i nie zobaczycie tego, ale dawniej

częściej to bywało. Znękana twarz bezkrwista i oczy, jakimś ogniem płonące, nic, tylko te oczy nieszczęsne, w owo ściernisko jak w zbawienie wpatrzone, aby nie przeoczyć ani jednego z kłosów drogocennych, o życiu jej dzieci stanowiących.

Widzieliście może matkę, która szuka dziecięcia jedynego, w tłumie wielkim lub mieście ludnem zatraconego? Widzieliście jej oczy, myślą straszną, najdzikszemi przypuszczeniami z orbit wysadzane? Wysadzane, bo w nich jednych ratunek pozostaje, bo one jedne zobaczyłyby i poznały to dziecię wśród dzieci tysiąca, one, co nad tem dziecięciem tyle nocy nie spały, co w to dziecię, jak w słońce jasne, tyle dni patrzały.

Z takim napozór wzrokiem, a w rzeczy stokroć straszniejszym, bo najsłabszym błyskiem nadziei nierozjaśnionym, a jednak w ziemię porytą jak ostrza zimne wrażonym, szła po pobojowisku krwawem niewiasta wysoka, jakimś cieniem istoty żywej będąca.

Blada, jak te trupy naokół bezładnie leżące, bardziej ona do widma ze świata tamtego, niż do człowieka żywego podobną była.

I nie szła ona, ale jak widmo sunęła pomiędzy trupami, żniwo okrutne przeglądając.

Usta jej poruszały się czasami, ale co one szeptały: modlitwę czy skargę, czy klątwę może ciskały? Bogu jednemu wiadomem to zostało.

I jak owa matka, nie przeoczająca w ściernisku zarosłem kłosu najmniejszego, jak matka, wśród dzieci tysięcy odrazu poznająca swoje słonko jedyne, tak i ona poznawała każdą cząstkę ciała drogiego.

„A nie nachyliła się ani razu po ciało cudze — opowiadali potem sołdaci — i jak gdyby ją sam Pan Bóg prowadził, czy to rękę, czy nogę, czy choćby i sam palec tylko, wśród wielu i nie patrząc prawie, zawsze s w o j e odrazu poznawała...“

...I jak niewiasty na Golgotę, chusty białe z sobą przyniosła i krew zakrzepłą w chusty zbierając, na piersi składała...

I od widma czarnego, ni to duch żywy wśród trupów sunącego, bił ból tak wielki, że gdy wiatr powiał i poruszył liście drzew wiekowych, w pobliżu będących, zdało się obecnym, że to nie szum, ale płacz wielki z całej ziemi nieszczęsnej wichry z sobą przyniosły...

...I płakali rzewnie ludzie, za kordonem stojący...

Już całe ciało na brzegu wielkiej jamy, w którą wszyscy zwaleni być mieli, złożonem zostało, aliści bez głowy.

Bo tak gdzieś daleko była ona zarzuconą, a tak wbitą i wtratowaną w ziemię miękką, że długo, długo szukać jej musiała matka nieszczęsna...

...I lepiejby może było, by już oczy matczyne nie oglądały jej wcale...

...Okropną bowiem i dla oczu obcych była ta głowa pocięta, rozbita, krwią zakrzepłą, strzępami ciała i ziemią mokrą oblepiona...

...„W pierwszej chwili, gdy ją ujrzała — mówili również sołdaci — jak wilczyca, gdy znajdzie swe szczenięta pobite, straszną była“.

Ale ci, co stali dalej, nie widzieli tego, a widzieli, że jak Bolesna, pod krzyżem stojąca, długo stała i ona z bólu skamieniała...

...Widzieli potem... jak tę głowę do ust podniosła, do piersi cisnęła... chustami ocierała... i znowu całowała...

I nie wiedziała, co robić... czy ocierać z zabrukania świętokradzkiego, czy całować i tulić . . . . pieścić i tulić po raz ostatni... . . . Widzieli... jak z tą głową na ziemię upadła... . . . .

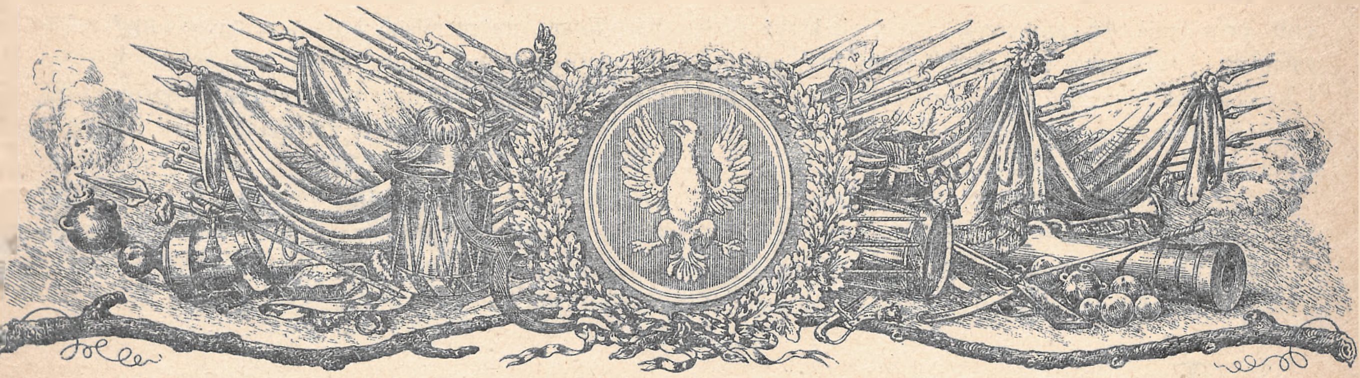
Sołdaci, tworzący kordon, ponuro odwracali się od ludzi, ukradkiem łzy ocierając.

Kraków 1908.

POBUDKA.

Naprzód, naprzód, Przyjacielu,
Pośród walk i bólów wielu
Naprzód wciąż!
Kiedy pustka wokół gnębi,
Ze sztandarem w serca głębi
Idź — Tyś mąż!
Przeszedł ziemią gniew straszliwy,
Tylko zgliszcza, tylko jęki
Zamiast życia kras. —
Pusto w polu .. krwawe niwy
Pragną siewu zbożnej ręki,
Bo już wielki czas...
Idź, o siewco między ludzi,
Piorunowa myśl obudzi
Myśli głód —
Duch Twój pożar serc zapali,
Pójdą ludzie, jak ze stali,
Będzie cud!
Krok za krokiem —
Własnym tokiem
Idź — Tyś mąż,
Kiedy ujrzą przeznaczenia znak na czole,
Rozpoznają, posłuchają w każdem siole,
Więc spokojnie dąż!

Kraków. *Jan Szymański.*



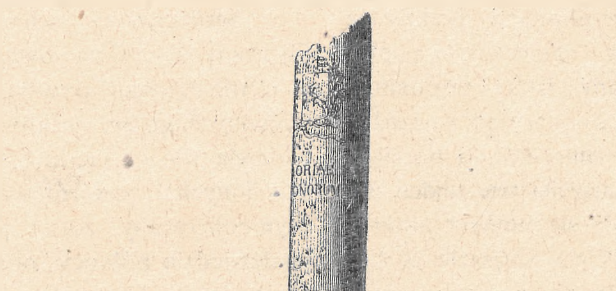
Emblemat z r. 1848.

POLSKA W SYMBOLACH.

(Dokończenie)

Rozkołysane marzeniem o braterstwie ludów, o zbrojnej interwencji na rzecz wszystkich uciśnionych, doczekało się wreszcie polskie społeczeństwo upragnionej wiosny narodów, a z nią razem i świeżej pobudki wojennej. W dymie pobojowisk, wśród trzasku walących się tronów, na fluktach parlamentarnej wymowy, w demonstracji i współczuciu mas, unosiła się idea Polski wolnej i niepodległej, uciśnionej, a tak bardzo bohaterskiej, męczennicy i mesjasza narodów. Nadzieja była jej symbolem, wojna i rewolucja wybawieniem, a treścią duszy czarowna ułuda.

Na kilka dni przed bombardacją Lwowa ułuda ta usymbolizowaną została na... karcie pogrzebowej. W październiku r. 1848 zmarł tu pułkownik wojsk polskich Wierzchowski, a pogrzeb jego przy udziale gwardji narodowej i „z oddaniem honorów wojskowych“ miał się odbyć w ostatnich dniach tego miesiąca, a zatem na parę dni przed bombardacją Lwowa. Na klepsydrze pogrzebowej zmarłego znalazł dosadny swój wyraz nastrój chwili współczesnej. Orzeł polski w zwycięskim wieńcu dębowym na tle całego arsenału wojennego, a raczej lamusa, gdzie berdysz i średniowieczna halabarda patrzy ze zdumieniem na nowoczesny bagnet, a dekoracyjne armaty na kask ułański i ładownicę. Nie braknie na owym emblemacie i pękającego granatu i lontu płonącego — ale dziwnem zrządzeniem losu granaty spadły na ratusz lwowski i akademję, a z lontów, nie wolność Polski rozgorzała, a jej niewola wśród ryku armat Hammersteinowskich.



Pomnik zmarłych na obczyźnie.
(Według rysunku Cypriana Norwida).

I zaległa cisza cmentarna, jak na owym nagrobku, który zaprojektował Cyprjan Norwid dla tych, co na obczyźnie spoczęli, na paryskim cmentarzu. W tem, co usymbolizować miał ów pomnik, znajduje się już wyraz nastroju, który doprowadził do żałoby narodowej i wybu-

chu powstania styczniowego. A więc krzyż promienisty i złamana kolumna, cierniowy wieniec i to charakterystyczne powiązanie szabli oficerskiej z włościańską kosą, ze wspomnieniem hasła „żywią i bronią“ i z ideą Polski ludowej.

Mistyczna wiara, wyrażona w chrześcijańskich godłach wiary, nadziei i miłości wnikać poczynała w samą treść duszy polskiej. Przyszły czasy żałoby narodowej, religijno-patrjotycznych demonstracji,



Winieta listu z czasów żałoby narodowej.



MEDALIK z r. 1861.



Alegorja z dzieła Kolumny: Pamiątka dla rodzin polskich.

śmierci bezbronnych i rozmodlonych tłumów na ulicach Warszawy. Godłem społeczeństwa polskiego stał się krzyż złamany, jakby wspomnieniem gwałtów, których się dopuszczali najeźdźcy w kościołach, serce przebite mieczem, a gorejące ofiarą i tą miłością, która ogarniała wszystkich żyjących na ziemi polskiej i stała się bujnym plonem styczniowych bojów — nadzieja wreszcie w kowicy i w tem samem przekonaniu, co na opisanym



Z odezwy Komitetu polsko-francuskiego.



MEDAL na pamiątkę setnej rocznicy pierwszego rozbioru Polski.

na początku niniejszego artykułu, medalu: „z krwi waszej powstanie mściciel tej ziemi“.

I stały się te godła zawołaniem całej Polski. Na nich spoczywał Orzeł biały i Pogoń i Archanioł Michał, a w mistycznej wierze rozpalała się dusza całego narodu na wielką i krwawą ofiarę, którą pełnili ochotnie mężowie i starcy, kobiety i dzieci niedorosłe.

W tym czasie nie używano prawie innego papieru listowego, jak tylko z emblematami żałoby narodowej, na piersiach kobiet, a nawet i mężczyzn widniały krzyże żelazne, niekiedy na żelaznych prostych łańcuchach, z datami pierwszych demonstracji, z wieńcem cierniowym, to znowu medaliki różnego kształtu i wielkości, na których stale prawie powtarza się godło złamanego krzyża, pod którym Orzeł polski z gałązką palmową i słowami kornej modlitwy „Boże zbaw Polskę“ — „Ojcze ratuj, Matko broń nas!“

Serdeczna potrzeba ofiary i śmierci na ołtarzu Ojczyzny tak silną była, że nawet na odezwach w czasie samego powstania styczniowego braknie wojennych godeł, znaków i armatury, a same tylko widnieją wieńce cierniowe i same słowa modlitwy uciśnionych i prześladowanych. A ten ucisk straszny usymbolizowany został po powstaniu, w postaci niedźwiedzia północy, opadającego orlęta w gnieździe Polski, Litwy i Rusi.

Tymczasem na emigracji przyszła powrotna fala sympatji polsko-francuskich i związanych z niemi nadziei. Wyrazem ich emblemat na odezwie komitetu polsko-francuskiego, złożony z tych samych sztandarów, co ongiś po powstaniu listopadowem. Wyrażono na nim ponadto ciągłość i tradycję polskiej rewolucji w datach 1830—1846, 1863, a na herbach, symbolizujących ideę polskiej państwowości, położono datę pierwszego rozbioru Polski, jako znak całości i nierozerwalności ziem polskich.

Setna rocznica pierwszego rozbioru Polski, obchodzona żałobnymi obchodami, upamiętniona została medalem pamiątkowym, na którym widnieje jeszcze wspomnienie czasów ogólnej żałoby narodowej z gałązką cierniową i kotwicą nadziei. Jest to może ostatni już wyraz nastroju, panującego w okresie powstania styczniowego, gdyż poczęły się już krystalizować te ideały pracy społecznej i narodowej, których najpiękniejszym wyrazem była działalność Towarzystwa demokratycznego.

„Niechaj prawdziwy legion podchorążych otoczy ten święty sztandar, a wtedy dopiero będziemy śmieli powrócić na pole zbrojnego targu

z wrogiem o wydartą nam ziemię“ — czytamy w jednej z odezw Towarzystwa demokratycznego. Jakoż kładło ono podwaliny rozwoju i bytu narodowego, nie rezygnując z praw naszych nieprzedawnionych i ogarniając skrzydłami Orła polskiego całą ziemię polską, tak jak to wyrażono na pieczęci Towarzystwa, będącej jednym z najbardziej świa-



Pieczęć Towarzystwa demokratycznego.

domych symbolów Polski porozbiorowej. Na tarczy z pęków liktorskich, to jest poszanowania prawa, spoczęła Polska od morza do morza i w haśle: jedno prawo dla wszystkich, co żyją na ziemi polskiej, odrodził się naród. *Fr. Jaw.*

BOLESŁAW LIMANOWSKI.

Co to jest cywilizacja?

(Erazm Majewski. Nauka o cywilizacji. Prolegomena i podstawy do filozofji dziejów i socjologji. Warszawa. 1908).

(Dokończenie).

Cóż to jest społeczeństwo? „*Społeczeństwo* — odpowiada autor — jest to naturalny *związek (ustrój)* cząstek biologicznych jednakowych (równych sobie), *związanych wzajemną zależnością*, o funkcjach *niejednakowych, zmiennych* i *zróżnicowanych*. Wzrastająca liczebność jego i gęstość (stopień skupienia) *wzmaga* różnicowanie się funkcyj“ (str. 64).

Istniejący związek w organiźmie jest widoczny. Wcale inaczej rzecz się przedstawia w społeczeństwie. Tu widocznej więzi niema. Rożnica ta jednak jest więcej pozorna, aniżeli rzeczywista. Gdybyśmy mieli oko nader czułe na drobne wymiary, to i tam po większej części nie widzielibyśmy także bezpośredniej więzi. Ziemia wreszcie znajduje się w ogromnej odległości od słońca, a jednak istnieje silna pomiędzy niemi więź. To, co utrzymuje komórki w całości organizmu, to nie zewnętrzna jakaś więź, lecz nieznana siła łącząca, tkwiąca w każdej komórce organizmu.

Co łączy osobniki ludzkie w społeczeństwo? Czem może być siła łącząca ludzi, nić społeczna? Na te postawione pytania autor usiłuje dać odpowiedź i temu poświęca kilka bardzo pouczających rozdziałów.

Tu jednak spostrzegamy pewne pominięcie, pewne niedocenianie przyczyn, które się składały na wytworzenie społeczeństwa i życia społecznego. Już poprzednio autor, zestawiając układy *niezależne* i *zależne* od podobnych sobie (str. 118), odstępuje od tej metody, którą zachwala, a która polega na analogji istotnych cech. Przed organizmem kładzie komórkę, przed społeczeństwem zaś — człowieka. Komórka składa się z biogen, które sprawiają to, że ona może wytwarzać sama z własnego wnętrza coraz nowe podobne do siebie komórki. Człowiek zaś, biorąc go pojedyńczo, sam z siebie nie jest w stanie wydawać podobnych do siebie istot. Staje się to możliwem dopiero wówczas, kiedy dwa różnopłciowe osobniki połączą się z sobą. Człowiek więc w stosunku do społeczeństwa nie jest tem, czem jest komórka w stosunku do organizmu, lecz raczej jest tem, czem jest biogena, jest socjogeną. Komórkę zaś społeczną stanowi związek dwóch istot różnopłciowych wraz z ich potomstwem, czyli *rodzina*. Tu jest źródło życia społecznego. Wreszcie sam autor przyznaje, że w życiu zwierząt „całostkę biologiczną stanowią dwie płcie oraz dzieci, przeto w granicach rodziny daje się dostrzegać wzajemna zależność“ (str. 121), „że z rodzin-atomów (ludzkich), a nie z czego innego zbudowane jest społeczeństwo ludzkie“ (str. 54). Lecz to przeszkadza dalszym wywodom autora, więc powiada: ponieważ „nie rodzina *w ogólności*, lecz koniecznie rodzina *ludzka*, zdolna do wchodzenia z innemi w stosunek zależności wzajemnej, jest przyczyną społeczeństwa ludzkiego“, więc „ta okoliczność sprowadza *socjologiczne* znaczenie rodziny do zera“.

Dla dalszych wywodów autora potrzebnem było także niedocenianie zaczątków życia społecznego, urywa więc wszelką niemal ciągłość pomiędzy gromadą i społeczeństwem. Te gromady, w których spostrzegamy pewne przejawy życia społecznego, są — podług autora — rozszerzonemi rodzinami, lecz nie społeczeństwami. U zwierząt nie ma życia społecznego, jest jeno życie gromadne, albowiem nie ma jeszcze u nich najważniejszego — w przedstawieniu autora — niemal jedynego łącznika społecznego: *mowy*. „*Ze zwierzęcia w coś całkiem dla świata nowego przerobiła człowieka głównie mowa*“ (str. 179) — powiada autor; lecz wie on zapewne, że amerykański badacz Garner z dźwięków głosowych, wydawanych przez małpy, ułożył jakby pewnego rodzaju słowniczek ich mowy, i dla tego w odnośniku się zastrzega, że ma na myśli „mowę wydoskonaloną, nie zaś tę ubogą, która jest udziałem bardzo wielu zwierząt, choć u niektórych gatunków (np. u małp) wyróżnia się znacznem stosunkowo bogactwem sygnałów“.

Trzeba przyznać atoli, że rozdziały, w których autor mówi o stosunku mowy do mózgu, do umysłowych zdolności, dla czego dopiero u człowieka aparat głosu mógł się wydoskonalić i doszedł do wielkiej potęgi, odznaczają się jasnością i ścisłością rozumowania. Dopóki pozostaje on w roli badacza antropologa, wywody jego, pomimo ma-

łych wątpliwości, trafiają do przekonania. Gotowiśmy się z nim w zupełności zgodzić, że mowa głosowa staje się potężnym łącznikiem pomiędzy ludźmi, że jest ona nawet głównym łącznikiem, chociaż autor nie uwzględnia mowy wzrokowej, mimicznej, którą u dzikich ludów często przeważa nawet nad głosową.

Ludzi może łączyć w całość społeczną tylko ta mowa, którą oni rozumieją, to jest taka mowa, która w ich mózgach wywołuje te same wrażenia, myśli, obrazy, które odczuwa w sobie mówiący. „Synonimem społeczeństwa — powiada autor — o którem tu ciągle mówiliśmy, nie może być ani rasa, ani państwo, ani jakakolwiek inna całość lub grupa, lecz tylko lud jednojęzyczny i naród“ (str. 324). Jakkolwiek niezaprzeczenie jedność językowa jest potężną więzią w narodzie, to jednak widzimy jednojęzykowe narody, niepoczuwające się wcale do jedności narodowej, jak mamy tego rażący przykład na Irlandczykach, którzy przyswoili sobie język angielski, ale nie stali się przez to Anglikami. Mowa, przez którą „mózgi ludzkie złączone są w jeden mózg, *w mózg społeczeństwa*“ (str. 314), jest potężnem, głównem narzędziem wytworzenia własnej wspólnej w narodzie kultury, czyli też cywilizacji, i w tej to kulturze, w jej stronie psychicznej, tkwi najsilniejsza więź narodowa: *poczucie narodowe,* a jeszcze wyższym jej stopniem jest *świadomość narodowa.*

Dopiero w życiu społecznem — jak to dobrze wykazuje autor — mózgi zaczęły funkcjonować silniej. „W mózgu — powiada autor — niema *nic darowanego* przez przyrodę, wszystko jest w nim zdobyte. Mózg ludzki jest też jego prawdziwym dyplomem *człowieczeństwa,* jest stanem jego służby, gdzie zapisane są niezliczone jego tryumfy nad naturą. W nim złożona jest cała, bardzo długa historja umysłowego rozwoju człowieka. Każdy gram mózgu był zdobywany wielkim mozołem“ (str. 148). Ta historja umysłowego rozwoju ludzi jest również historją cywilizacji. Rozpoczyna się ona, kiedy ludzie swą wiedzę, t. j. wyniki swych spostrzeżeń i doświadczeń, zaczynają stosować do życia społecznego, ażeby uczynić je bezpieczniejszem, dogodniejszem i przyjemniejszem. Autor nie uznaje *postępu,* doskonalenia się, chociaż sam mimowolnie posługuje się niejednokrotnie tym wyrazem, lecz tylko przemianę, coraz większe komplikowanie się życia. Gdybyśmy nawet nie chcieli uznać postępu w organicznym rozwoju życia, w historji ludzkości, to jednak nie sposób nie uznać postępu wiedzy i jej stosowania do życia ludzkiego.

Dla czego autor, wstąpiwszy na grunt socjologiczny, nie poszedł prostą drogą, którą sam był wytknął, lecz zboczył i zabłąkał się w zgęstniałych ciemnościach? Zdaniem mojem — dla tego, że uległ *idei narzuconej* nie przez innych, lecz przez siebie samego. Postanowił bowiem bądź co bądź wyjaśnić powstanie i istotę cywilizacji przyczynami *fizycznemi,* ponieważ przyczyny psychiczne są to przyczyny pośrednie, ostatecznie zależne od przyczyn fizycznych (str. 24). Jest to więc posunięta do skrajności metoda materjalistycznego pojmowania dziejów ludzkości, chociaż i mniej skrajna, ograniczająca się przyczynami ekonomicznemi, nie może sobie dać rady.

Autor broni się, jakoby hołdował materjalizmowi; zastrzega się, ażeby nie rozumiano w znaczeniu fatalistycznem niezłomne prawo natury, rządzące niezależnie od woli człowieka pochodem cywilizacji; pomimo to czytelnika ogarnia fatalistyczne zwątpienie we wszelkie usiłowania ludzkie, ponieważ *wszystko* odbywa się z nieubłaganą koniecznością.

Jakkolwiek niepodobna się zgodzić z ostatecznemi wywodami socjologicznemi p. Majewskiego, to jednak wiele z jego książki nauczyć się można, i bądź co bądź jest ona cennym dorobkiem w naszej literaturze naukowej.

NOTATKI.

Zbiory w Dołhem. Dołhe na Litwie, własność rodziny Kraszewskich, gdzie Józef Ignacy Kraszewski młodość swoją przepędził, posiada bardzo bogate zbiory pamiątek narodowych, a między innemi kilka tysięcy sztuk wykopalisk przedhistorycznych, dalej autografy, wśród których 10 własnoręcznych listów Tadeusza Kościuszki, listy Józefa Poniatowskiego, generała Henryka Dąbrowskiego, J. U. Niemcewicza, Ignacego Krasickiego, własnoręcznie przez Józefa Wybickiego napisana „Pieśń legionów“ i w. i. Znajdują się tam dalej miniatury na pergaminie z XIV. i XV. wieku w ilości 16 sztuk; kolekcja pasów słuckich, bogata korespondencja J. I. Kr., około 600 sztuk, niemal do całej rodziny. Obrazy olejne, mnóstwo własnoręcznych rysunków znakomitego autora, najstarszy dagerotyp jego, nigdzie nie produkowany.

Ponadto rysunki własnoręczne niektórych artystów polskich, jak np. Jana Matejki „Iwo Odrowąż“, „Aratra„ Grottgera; trzy rysunki Suchodolskiego: „Pochód Napoleona I. w Rosji“ i t. d. Pamiątki po Janie Pawle Woroniczu, Mickiewiczjana: a) prawie wszystkie pierwsze wydania pism Mickiewicza, b) kalendarzyk polityczny na rok 1809, gdzie znajduje się bodaj najpierwsza wzmianka drukowana o Adamie Mickiewiczu, jako uczniu celującym z klasy I. szkoły nawogrodzkiej, c) karta żałobna, zawiadamiająca o śmierci „Monsieur Adam Mickiewicz“, litografowana w Konstantynopolu, zaraz po śmierci wieszcza, i wielka ilość innych po nim pamiątek. Zbroje, kielichy, puhary, karabele, złote ryngrafy. Nóż ogrodniczy w oprawie kamiennej z adnotacją, iż należał do Jana Kochanowskiego, księcia poetów i w. i.

Wykopalisko z epoki ruskiej. Niedaleko Kijowa w powiecie zwienigradzkim znaleziono skarb z ruskiej epoki wielkoksiążęcej, składający się z różnych srebrnych przedmiotów.

Zabytek ów znalazł pewien wieśniak we wsi Stara-Buda. Miejsce, w którem znaleziono skarb, znajduje się w odległości 120 sążni od wsi. Przedmioty znajdowały się w rozbitem naczyniu glinianem. Z wyjątkiem zielonych paciorków i przeźroczystego, okrągłego kamienia, wszystkie pozostałe przedmioty są srebrne: 2 łańcuchy na szyję, 3 plecione bransolety, takież pierścienie, części połamanych pierścieni, 2 naramienniki i różne drobne kosztowności.

W tem samem miejscu znaleziono także 2 pierścienie, broszkę, 3 medaliony, z których dwa z literami I. S. i H. S., 3 drobne srebrne upiększenia i t. d. Przedmioty odesłano do komisji archeologicznej w Petersburgu.